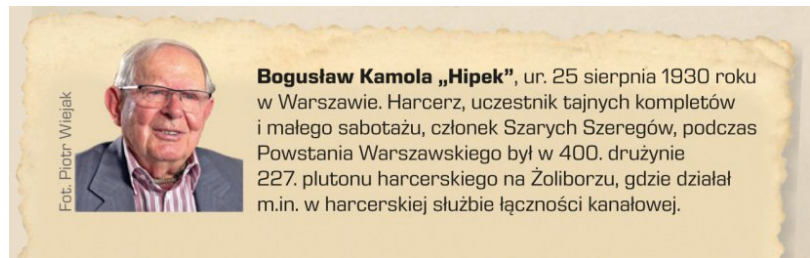


BYŁEM SZCZUREM KANAŁOWYM – relacja Bogusława Kamoli

Bogusław Kamola doskonale pamięta 1 sierpnia 1944 roku:

„Na Żoliborzu padły pierwsze strzały około godziny 14.00, jeszcze przed godziną »W«. Było to związane z akcją wydobywania broni z magazynów i przenoszenia ich w okolice ul. Suzina. Polski oddział AK [...] natknął się na patrol niemiecki i wywiązała się strzelanina” [oddział prowadził Zdzisław Sierpiński „Marek Świda”].

Z tego powodu powstanie na Żoliborzu zostało przyśpieszone.



„Ten nieszczęśliwy przypadek spowodował, jak sądzę, całe zamieszanie związane z mobilizacją AK. Akcja na Żoliborzu była sygnałem dla Niemców, że rzeczywiście nastąpi jakaś walka czy zbrojny opór. W związku z tym wszystkie jednostki niemieckie na terenie stolicy zostały postawione w maksymalny stan pogotowia bojowego”.

Wydarzenia na Żoliborzu spowodowały, że do niespełna czternastoletniego Bogusława Kamoli nie dotarł rozkaz o mobilizacji. Dowiedział się o niej dopiero po 4 sierpnia. Musiał się uciec do podstępu, aby dołączyć do swojej drużyny.

„Dotarł do mnie łącznik z plutonu. Przekazał wiadomość, że pluton działa, mobilizuje się. No i oczywiście najlepiej byłoby, gdyby żołnierze, którzy się dołączają, byli uzbrojeni. [...] Mój tata był zbrojmistrzem całego »Żywiciela«, później zgrupowania »Żmija«. W



związku z powyższym mieliśmy sporo zgromadzonej broni, która była zakopana w piwnicy. Postanowiłem tę broń wykopać. [...] wieczorem potajemnie zszedłem do piwnicy, wykopałem efenkę [Browning wz. 1910/22], taką z przedłużoną lufą, i 53 sztuki amunicji, a więc bardzo dużo, i jeszcze dodatkowy magazynek. To wszystko sobie przygotowałem i rano wyszedłem z mieszkania, nie wzbudzając niczyjej ciekawości. Wystawione posterunki niemieckie nie zauważyły mnie i chyłkiem przez olejarnię do ul. Rudzkiej dotarłem nad Wisłę. Dalej przez trzciny doszedłem do ul. Potockiej. Tam stacjonowały już pierwsze oddziały powstańcze. W taki sposób znalazłem się na ul. Krasińskiego 20”.

Stacjonowały tam drużyny 227. plutonu harcerskiego, który po 10 sierpnia został włączony do zgrupowania „Żyrafa”.

„Kiedy dołączyłem do plutonu, odkryłem, że wszyscy jego żołnierze to byli moi koledzy albo z gimnazjum, albo z kompletów, albo z miejsca zamieszkania. Myśmy, młodzież żoliborska, byli gdzieś zaangażowani. Ponieważ była konspiracja, to nikt absolutnie nie informował o tym swoich kolegów. Zналиśmy siebie nawzajem, ale nie

wiedzieliśmy, kto jest w innych zastępach. To nie byli ludzie znikąd, pośpiesznie zorganizowani w oddział. Myśmy się doskonale znali, w związku z tym dawało nam to ogromną siłę i moralne oparcie”.

Reduta przy ul. Krasińskiego 20 była jedną z najważniejszych strategicznie pozycji broniących od strony zachodniej dostępu do pl. Wilsona, centrum Żoliborza. Ale pozycja ta była istotna jeszcze z innego powodu.



► Uczestnicy tajnych kompletów w domu pp. Dzierżewiczów przy ul. ks. Trószczyńskiego; Bogusław Kamola stoi pierwszy z lewej; Warszawa, 3 maja 1944 roku

„Dojścia do Krasińskiego bronił klasztor zmartwychwstanek, później nasza pozycja Krasińskiego 20 i po przeciwnej stronie blok Krasińskiego 29. Nasza reduta trwała do końca powstania [w rzeczywistości oddziały powstańcze wycofały się z tych pozycji pod koniec września 1944 roku, podczas zmasowanego natarcia Niemców na Żoliborz]. Przed wojną przed blokiem były pola działkowe i osada kilku domków. Po lewej stronie znajdował się instytut chemiczny zajęty przez Niemców. Po prawej zaś, w odległości około jednego kilometra, były stanowiska artylerii niemieckiej. Właściwie byliśmy okrążeni cały czas na tym przedpolu przez zgrupowania niemieckie. Barykada, którą myśmy wykonali, łączyła blok Krasińskiego 20, przecinając ul. Krasińskiego, do budynku przy Krasińskiego 29 i do klasztoru zmartwychwstanek. Właz do kanałów znajdował się właśnie w zasięgu barykady. Mieliśmy zatem, jak się później okazało, kluczowy element łączności kanałowej”.

Problemy z łącznością między odizolowanymi od siebie oddziałami i dzielnicami walczącej stolicy skłoniły dowództwo do poszukiwania alternatywnej drogi łączności. Przy współpracy z pracownikami miejskich wodociągów zostały wytyczone trasy komunikacyjne pod miastem, w kanałach.

„Żoliborz był o tyle osamotniony, że ograniczała go linia kolejowa Dworca Gdańskiego. Była to naturalna zaporą kontrolowana przez Niemców, która nie dopuszczała łączności ze Śródmieściem i ze Starym Miastem. Stąd też decyzja naczelnego dowództwa [...] utworzenia specjalnych oddziałów, które zajęłyby się łącznością kanałową. [...] Wyznaczono do niej [...] nasz pluton. [...] przypuszczam, że dlatego, że byliśmy już zespołem zaprawionym. To byli młodzi chłopcy, dosyć zręczni, niewysokiego wzrostu, zapaleńcy, harcerze. W związku z tym była to idealna grupa. [...]

Przydział do kanałów przyjąłem z honorem, uważałem, że jest to coś specjalnego. Ale jednocześnie odczuwałem lęk. Przypominałem sobie kanał burzowy z wylewającą się wodą, który widziałem jako mały chłopiec. [...]

Sami dobieraliśmy się w drużyny, którymi poruszaliśmy się po kanałach, nie było w tej kwestii przymusu. Dowództwo Żoliborza oczywiście miało taką grupę przewodnią, my byliśmy wykonawcami. Natomiast mózgiem, który kierował pracą w kanałach, był porucznik ps. »Gałązka« [por. Zygmunt Zbigniew Zamięcki, dowódca plutonu łączności specjalnej – kanałowej na Żoliborzu] [...] oraz grupa pracowników byłego Przedsiębiorstwa Wodociągów i Kanalizacji. Pracownicy ci dostarczyli plany przedwojenne niektórych odcinków kanałów, tak że

kiedy myśmy przystąpili do akcji, to dowódca »Gałązka« wiedział, gdzie będziemy szli, jakimi drogami, jakimi kanałami i o jakich przekrojach”.

Nazwa „szczury kanałowe” przyłgnęła do nich na stałe.



„Jeśli chodzi o nazwę »szczury kanałowe«, to myśmy w kanałach spotykali mnóstwo szczurów i ktoś tak wymyślił. [...] I to określenie zostało z nami do końca, z czego jestem bardzo dumny. Szczury to stworzenia bardzo przebiegłe, wytrzymałe, żyjące w każdym warunkach – to nam pasowało”.

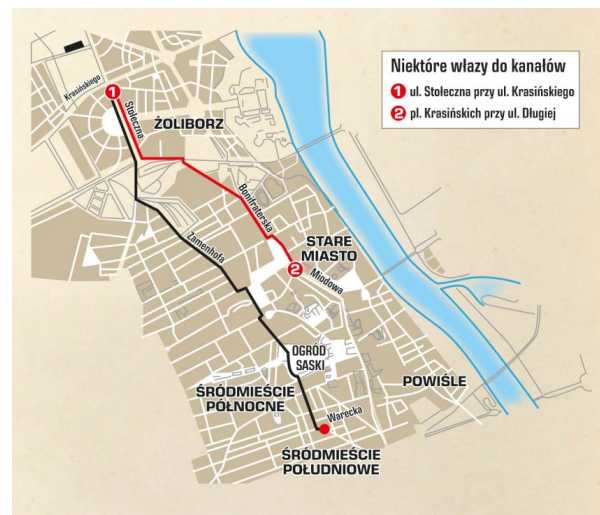
Swoje pierwsze zejście do kanałów zapamiętał na całe życie.

„Schodziliśmy wtedy z rozkazem sprawdzenia drożności kanałów na Starówkę. Było nas pięciu. Nie doszliśmy wtedy do celu, ale zbadaliśmy teren – pod Dworcem Gdańskim, dochodząc do ul. Stawki i terenu dawnego getta. [...] Tak zwany „nasz” właz był wówczas (i jest do chwili obecnej) ostatnim wejściem do kanałów przed „burzowcem”, czyli zlewiskiem kilku kanałów prowadzących ścieki na północ. Pomijam specyficzny zapach, ale ten niesamowity szum w zamkniętej i ciemnej przestrzeni napawał strachem przed czymś niewiadomym. Musieliśmy na linie opuścić się niżej, gdzieś w ciemną czeluść. To było niezapomniane wrażenie. Kiedy już dotarliśmy do dna, okazało się, że kanały utrzymują wysoki poziom – pod koniec sierpnia nadal w Śródmieściu działały wodociągi, woda jeszcze była w domach. Towarzyszyły temu wszystkiemu niewiadoma, gdzie jesteśmy, i strach. Był rozkaz, aby trzymać się za panterki jeden drugiego i starać dotykać ręką ściany kanału. Miał on kształt podkowy, był dosyć wysoki, około 1,8 m. Szliśmy więc wyprostowani. Szurając nogami, posuwaliśmy się do przodu. Oczywiście nie można było rozmawiać, krzyczeć, wyjmować nóg z wody, tylko szurać po dnie kanału”.

„Szczury kanałowe” szybko dostosowały się do specyficznych, trudnych warunków panujących w kanałach.

„Przy pierwszym zejściu dostaliśmy wysokie gumowe kalosze z cholewką do kolan. W nie wpuszczaliśmy spodnie. Do tego mieliśmy hełmy i broń. Broń zawsze mieliśmy bardzo dobrą – steny albo błyskawice. Ale to pierwsze doświadczenie spowodowało, że kiedy nam się ścieki nały do cholew, to kto nie miał ściśle dopasowanego buta, ten go gubił. Ścieki uniemożliwiały właściwie chodzenie, trzeba było szurać nogami. Zresztą było bardzo ślisko i w każdej chwili można było upaść. [...] Najchętniej zakładaliśmy podziurawione trampki na bosą nogę. Wtedy cała woda przelatywała i te buty nie spadały. Do tego krótkie spodnie – nie namakały i nie utrudniały przejścia po kanałach. To był ważny wynalazek, który jednak powodował, że nasze nogi były znacznie bardziej narażone na zranienie. A w warunkach kanałowych z ran łatwo tworzyły się różnego rodzaju zapalenia. [...] Jedynym lekiem była szara maść, nic więcej. [...] Potem nie nosiliśmy już hełmów. Hełm przy upadku czy uderzeniu wydawał głośny dźwięk, a echo pięknie niosło się po kanałach. [...] Każdy pocisk, każdy strzał na górze, pojazd, czołg, bombę w kanale odczuwaliśmy ze zdwojoną siłą”.

Długie przebywanie w tunelach pod powierzchnią było niebezpieczne nie tylko z powodu możliwości spotkania z wrogiem.



„Każde ścieki i nieczystości wytwarzają różne gazy, między innymi metan, który jest zabójczy dla człowieka. I tak też było tutaj. Po wyjściu na powierzchnię czuliśmy, że jesteśmy półprzytomni, podtrucii”.

W Muzeum Powstania Warszawskiego znajdują się relacje dorosłych wtedy powstańców, którzy nie poradzili sobie psychicznie w kanałach. Czternastoletni Bogusław Kamola nigdy się nie załamał.

„Nie przeżyłem nigdy paniki ani takiej sceny, jak przedstawił Andrzej Wajda w filmie Kanał. [...] Pewnie dlatego, że byliśmy fachowcami w przeprowadzaniu ludzi i sprzętu po kanałach. Wiedzieliśmy, gdzie idziemy, w jakim celu i jak się do tego zabrać. Nazwy ulic znaczyliśmy w kanałach kredą. [...] Najgorszą rzeczą dla mnie, bardzo stresującą, na granicy wytrzymałości, były warty w kanałach. Początkowo ruch w tunelach nie był kontrolowany, ale ze względu na to, że przemieszczało się nimi dużo ludzi, wprowadzono przepustki. Dla kontroli dowództwo wyznaczyło warty. Nasz punkt znajdował się w okolicy Dworca Gdańskiego. Zawsze był to kanał z odnogą, z którego można było się bezpiecznie ewakuować w razie niebezpieczeństwa. Przebywanie tam, w pojedynkę lub z kolegą, w całkowitej ciemności i ciszy oraz ciągłe nasłuchiwanie, czy nic się nie dzieje, powodowało ogromne napięcie. Każdego dnia w kanałach wyznaczano hasło świetlne. Jeśli ktoś na takie hasło nie odpowiadał, był rozkaz, aby strzelać. Strzelanie w kanałach miało to do siebie, że każdy pocisk był celny, nie było szansy uniknąć kuli”.

Kanały otworzyły przed powstańcami możliwości nieosiągalne drogą naziemną. W związku z tym „szczury kanałowe” otrzymywały różnorodne zadania.

„Dostarczaliśmy broń, na przykład na Starówkę. Broń, która pochodziła od żołnierzy bazujących w Kampinosie, którzy byli bardzo dobrze uzbrojeni. [...] Zdarzało się niekiedy, że ci ludzie z lasu szli z nami. Byli potężniejsi, lepsi fizycznie, aczkolwiek niedoświadczeni w kanałach. [...] Przeprowadzaliśmy całe oddziały na Starówkę oraz ze Starego Miasta na Żoliborz w celu dozbrojenia. Tutaj była cała logistyka. Oczywiście te grupy nie mogły być duże, nie większe niż 25-30 osób. To było związane z tym, że włązy do kanałów zostały już otwarte. Kiedy dochodziliśmy do wjazdu, należało pod nim przejść skokowo, wyczekując, nasłuchując, czy nic złego się nie dzieje na górze. Ci, którzy już przeszli, musieli czekać na resztę. Zanim ta grupa 20-30 osób przedarła się pod wjazdem, upłynęło sporo czasu. [...] Zdarzało się, że ludzie błądzili w kanałach. Kanały to wielkie, kilkupoziomowe, niebezpieczne miasto. Panował tam strach. Kto nie wytrzyma samotności w ciemnościach, ten ginie”.

W miarę trwania walk zadania stawały się coraz trudniejsze.



„Niemcy dowiedzieli się, że istnieje łączność kanałowa. Stąd odkryte włazy i blokowanie tuneli. Wpuszczali tam m.in. szyny, metalowe łożka, beczki itp. Te zapory blokowały przepływ wody, podnosiły jej poziom i uniemożliwiały przejście. Naszym zadaniem było m.in. udroźnianie tuneli i likwidowanie zapór [...]. Jedna z nich znajdowała się pod Dworcem Gdańskim. Pomimo wielu prób i wysiłków nie daliśmy rady jej zlikwidować. Zostaliśmy także skierowani do zlikwidowania zapory blokującej dostęp do kanału prowadzącego do Śródmieścia. Po przeciwnej stronie piętrzyła się już woda, dlatego należało umiejętnie rozbierać »barykadę«. Ostatecznie barykada ta została wysadzona przez kolejną grupę kolegów, którzy tam dotarli”.

„Hipek” dobrze zapamiętał jeszcze inne podobne zadanie.

„Otrzymaliśmy rozkaz rozbicia zapory murowanej – Niemcy zamurowali kanał, gdzieś pod ulicą Obozową na Woli. Mieliśmy plany, jak tam dojść, oraz informacje, jak wygląda ta przypuszczalna zaporę. Dostaliśmy dodatkowe żelazne racje żywnościowe (suchary i po dwanaście kostek cukru) – zapowiadał się dłuższy pobyt w kanale. Niestety zgubiliśmy się. Dotarliśmy do wielkiego pomieszczenia, w którym zbiegały się różne odnogi i różne poziomy tuneli. Ogromny szum ścieków. Jak się okazało, dowódca pomylił drogę. Idąc cały czas, nie natknęliśmy się na zaporę. U kresu sił zrobiliśmy naradę, aby zastanowić się, co dalej. Pomimo głosów postulujących powrót, dowódca podjął decyzję o dalszym marszu – i miał rację. W następnym kanale trafiliśmy na nasz cel. Za otwartym włazem z bijącą z niego poświatą był mur. Pod włazem stanął kolega na warcie, a ja z moim przyjacielem ze szkolnej ławki, Zenkiem, zaczęliśmy pracować owiniętymi w szmaty młotkami nad kruszeniem muru. Tymczasem nad włazem zapadła ciemność. Alarm. Młotki wrzuciliśmy do ścieku i czekamy. Zapanowała cisza. Złapaliśmy za broń. Po chwili usłyszeliśmy huk motoru i nastąpiła jasność. Okazało się, że jakiś niemiecki pojazd zatrzymał się nad włazem. Dowódca zarządził odwrót, jednak do bazy dotarliśmy z ogromnymi problemami”.

W naszym spotkaniu z Bogusławem Kamolą uczestniczy pracownik warszawskich wodociągów. Dopowiada dalszy ciąg tej historii. Okazało się, że harcerze rzeczywiście się zgubili i dotarli na Wolę, ale do zamurowanego zakończenia jednej z odnóg kanału. Żelbetonowa ściana wzniesiona przez budowniczych warszawskich kanałów nigdy nie poddałaby się wysiłkom Bogusława Kamoli i jego kolegów.



Główna trasa „szczurów kanałowych” prowadziła z Żoliborza na Starówkę, rzadziej drużyny przedostawały się do Śródmieścia.

„Odległość między naszym wjazdem a wjazdem na rynku Starego Miasta to około 4,5 km. Przejście tego odcinka, w zależności od liczebności grupy, zajmowało nam od 4 do 10 godzin. I to na ogół bez jedzenia i picia. Naszemu dowódcy, porucznikowi ps. »Gałązka«, doradzali byli pracownicy kanałów. A dowódca przekazywał nam podstawowe zasady, jak należy się zachowywać, przede wszystkim żeby się nie bać, że nie ma specjalnych zagrożeń. Zawsze staraliśmy się chodzić bardzo ostrożnie, tak aby nie upaść. [...]

W czasie walk powstańczych Starówka była pierwszą dzielnicą, która uległa zagładzie. My tam chodziliśmy i widzieliśmy, co się dzieje. Przejście z zielonego Żoliborza na płonąca Starówkę było dużym przeżyciem, kontrast był bardzo wyraźny”.

Jak się okazało, kanały stanowiły również miejsce schronienia dla ludności cywilnej, uciekającej przed działaniami wojennymi i niemieckimi represjami.

„W końcu sierpnia w kanałach natknęliśmy się na ukrywających się Żydów. Otrzymaliśmy zadanie udroźnienia przejścia gdzieś pod terenem dawnego getta. Tamtejsze kanały były wypełnione trupami. W jednym ze zlewisk kanałów natrafiliśmy na pomost, a na nim na różne rzeczy - koce, szmaty, kubły z wodą, nawet konserwy. Zorientowaliśmy się, że ktoś musi w tym miejscu koczować. Zaczęliśmy nawoływać i po jakimś czasie z bocznych kanałów wyłoniły się ludzkie sylwetki, a właściwie ludzkie wraki. Przykry widok. Udało nam się tych sześć osób przeprowadzić na Żoliborz. [...] Raz spotkaliśmy także kilku cywili zagubionych w kanałach, także udało nam się ich wyprowadzić”.

Trudna służba w łączności kanałowej nie zwalniała harcerzy z innych obowiązków, które mieli powstańcy. Dawała jednak też jeden przywilej.

„Przy ul. Krasińskiego 29 była baza, gdzie zawsze czekała na nas woda w pojemnikach, mogliśmy się umyć. Nie była to znaczna ilość – dzbanek na osobę. To była sztuka, żeby się umyć, niemniej robiliśmy to. Jeśli chodzi o wyjątkowe traktowanie, to tyle. Powiem więcej – pobyt w kanałach nie zwalniał nas ze służby wartowniczej. Sam miałem pewną niemiłą sytuację z tym związaną. Po jednej z wypraw kanałowych – już przebrany i, powiedzmy, umyty – dołączyłem do plutonu. Dowódca, widząc mnie, oznajmił, że czeka mnie dziś warta na barykadzie, od drugiej w nocy. Moje prośby o przesunięcie służby nic nie dały. Kompletnie wyczerpany, dotarłem na barykadę. Tam służbę miał także mój kolega z drużyny – Tytus. On zlitował się nade mną, powiedział, żebym przespał się na klatce schodowej pobliskiego bloku i gdyby coś się działo, to mnie zawiadomi. Tak też zrobiliśmy. Wszystko byłoby może dobrze, ale ze zmęczenia pomyliłem klatki. Nadeszła zmiana warty, a tymczasem mnie nie ma. Zejście z barykady w czasie wojny równa się najwyższej karze – sąd wojskowy. Zaczęły się poszukiwania i oczywiście znaleźli mnie śpiącego. Zrobiła się straszliwa awantura... Na szczęście dla mnie dostałem tylko karę harcerską – na apelu porannym, przed całym plutonem, za zejście z posterunku, musiałem z kubłami wody w rękach okrążyć podwórze bloku. Jak na te warunki, była to niezwykle łagodna reprimenda”.



Czas wolny wypełniał harcerzom odpoczynek, czasem wspólnie śpiewali pieśni. Zdarzały się jednak przepustki.

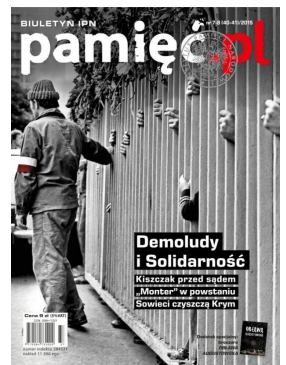
„Na urodziny dostałem przepustkę, aby spotkać się z rodziną. Przedarłem się do domu i, na szczęście, jeszcze tego dnia, 25 sierpnia, zastałem w nim moją mamę i brata. Mama przyjęła mnie łzami, ale była bardzo szczęśliwa, że żyję. Myślała, że zostanę, ale nie mogłem, musiałem wracać do oddziału. W tydzień po mojej wizycie w domu miał miejsce atak na szkołę powszechną nr 133, gdzie stacjonowali Niemcy. Placówka została zdobyta i spalona. Ucierpiał także nasz dom [sąsiadujący ze szkołą]. Rodzina moja na szczęście ocalała. Następne nasze spotkanie miało miejsce po trzech latach, po moim powrocie z niewoli”.

Po kapitulacji Powstania Warszawskiego Bogusław Kamola trafił do bardzo ciężkiego dla polskich jeńców stalagu XI Altengrabow na terenie Rzeszy, następnie pracował jako robotnik przymusowy m.in. w Magdeburgu. Powrócił do kraju w 1947 roku. Mieszka na warszawskim Żoliborzu, którego tak dzielnie bronił 71 lat temu.

oprac. Piotr Wiejak, Rafał Pękała



Relacja pochodzi z numeru [7-8/2015](#) miesięcznika „Pamięć.pl”.



[Drukuj](#)

[Generuj PDF](#)

[Powiadom znajomego](#)

[Wstecz](#)

Liczba wejść: 11616, od
29.07.2016
